

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej
Wychodzi co tydzień.

Wyjazd bez powrotu.

Stoi jawor wedle wody
A chyla się, chyla,
Płacze rzewnie kozak młody,
Bo ciężka nań chwila.

O nie chylaj się, jaworze,
Zielonyś, młodziutki!
I tyś, chłopcze, w rannej porze,
Na co ci tam smutki?

Jak się jawor chyłać nie ma?
Fala wśród gałęzi!
Jak z suchemi stać oczyma?
Serce na świecie.

Kozak żegna kraj swój wiecznie:
A gdzie w innej ziemi,
Tak miłują się serdecznie?
Tak tęsknią za swymi?

Jedzie, jedzie przez dąbrowę
Na cudze już strony;
Siodło pod nim orzechowe
I koń jego wrony.

O, za Dunaj jedzie siny.
Na chleb gdzieś tułaczy;
Swojej lubej Ukrainy
Nigdy nie zobaczy.

Rok za rokiem w krwawo boje,
Przez długie tam lata,
Jak potomstwo i czy swoje,
Hoduje dla świata,

Idą przecież miłsze chwile
Grób stoi gotowy;
Prosi wszcześcić na mogile,
Kalinę u głowy.

Będą ptaszki dniem i nocą,
Dziobać po kalinie;
Może kiedyś zaszczebiocą
Wieść o Ukrainie.

Bohdan Zaleski.



Król i wójt.

Powieść z lat dawnych.

przez
Stefana Gębarskiego.

(Ciąg dalszy.)

Rycerze poszli za radą starej Boruchy. Zaledwie jednak z mchu miękkiego przygotowali sobie posłanie, gdy w borze dały się słyszeć niezwykle jakieś a dalekie odgłosy. To raz zdawało się, że gdzieś na skraju puszczy żubr rykiem rozdarł powietrze i echo dobiegło aż tutaj, to znowu przeciągłe wycie wilka dobiegło do uszu rycerzy. Naraz wszystko ucichło, jakby pod ziemię zapadło, jeno szum głęboki, poważny olbrzymich dębów, świerków, sosen, buków i jodeł, jakby od fal wzburzonego morza, szedł przez puszcze za każdym silniejszym powiewem wiatru.

— Konie nam mogą wilki popruć! — rzekł Dąbek, siadając na mchu.

— Ha! trudno, chwała Bogu, że myśmy dotychczas cali. Ta polanka, to kępa niedostępna wśród moczarów i bagien.

— To prawda — potwierdził Dąbek. — Gdyby tak nie było, to stara Borucha dawno posłaby na stawę różnym drapieżnym bestyom.

Obaj znużeni całodzienną wśród puszczy wędrówką, zaledwie skłonili głowy na własne ręce z mchów przygotowane posłanie, a już nieprzeparta senność ich ogarnęła.

Spali snem kamiennym. Już słońce poranne wzbilo się po nad konary drzew, gdy pierwszy obudził się Stach Dąbek.

Podniósł się, spojrzął dokoła. Polanka wydała mu się jakby starem cmentarzyskiem. Otoczona olbrzymimi olchami i świerkami, najeżona powywracanymi pniami drzew zwalonych, lub sterczącymi w górę w polowie przez burzę gromową, połamanymi świerkami, czyniła wrażenie przynębiające.

Stach zerwał się na równe nogi.

Trz obok, zasłonięta olbrzymim pnem wywróconego drzewa, stało nawpół rozwalone szalasisko, w którym mieszkała Borucha.

Młodzieniec przetarł oczy.

Wczorajsze spotkanie ze starą, do wiedźmy z bajek podobną kobietą, snem mu się wydawało.

Ale nie był to sen: szalasisko stało i ciemnym otworem, z którego lekki siny dym się wydobywał, zdawało się nań spoglądać.

— Wstawajcie waszmość! — zawołał, biorąc Piętkę za rękę.

— Na Boga, a toć już późno! — zamruczał szlachcic, podnosząc głowę.

— Zaspaliśmy, jakby w zaczarowanym pałacu na posłaniu z puchu łabędziego.

— Ba! bożeśmy się też niemało w tym borze wczoraj nadreżyli.

Piętka rażno porwał się na nogi i spojrzawszy dokoła po polance nabożnie żegnać się zaczął.

— Chryste panie, Odkupicielu świata, a toć tu aż człowieka mrowie po skórze przechodzi, kiedy na te dzikie uroczysko popatrzy... Miły Stachu, a wynośmyż się ztąd czempredzej, jeśli nam życie mile.

— Ba! tak waszmości łatwo powiedzieć: wynośmy się. A samiśmy to tutaj weszli? drogę znamy?

Szlachcic zastanowił się.

— A jużćie prawda... Borucha! to biedne dziewczatko! prawda! Musimy się z niemi widzieć. O wspólnym ratunku pomyśleć. Idź-no, zajrzyj do tej budy...

Dąbek, choć go stara Borucha przeraziła, poszedł rażnie do szalasiska.

— Ratunek im trzeba dać! to święty każde go obowiązek — szeptał... Szczególniej temu nie-szczęśliwemu, choremu dziewczatku.

Jakże wielkie jednak było to zdziwienie jego, gdy wewnątrz izbę zastał pustą. Ani w niej śladu życia.

— Czyśmy śnili, czy rzeczywiście wczoraj widzieliśmy w tem szalasisku pod opieką starej kobiety młode nieszczęśliwe, obłąkane dziewczatko? — pytał Dąbek. Szlachcic przesunął ręką po czole.

— Ba! — odrzekł — toć nas tu stara Borucha przyprowadziła. Zabrała dziewczatko i poszła w głąb boru. Zaspaliśmy, drogi Stachu,

a teraz niełatwa będzie sprawa wydostać się z tej kępy, dokoła moczarami i bagniskami otoczonej.

— A jednak trzeba będzie się wydostać... straszno tutaj, jak na jakim cmentarzysku.

— Pójdźmy ztąd!

— Pójdźmy!

Obeszli dokoła polankę i natrafili na miejsce dość suche. Zdawało się, że tedy będzie można wydostać się z matni, w którą mimowolnie się dostali.

Przodem poszedł Stach, za nim Piętką.

Wtem obaj, natrafiwszy na grunt grzędki, zagłębili się w nim po kolana.

— Bodaj to lichu wzięło! gniewał się Piętką — człowiek jak żaba umaże się w błocie.

— Żeby się jeno nie utopić! dorzucił z gniewem Dąbek.

Wydobyli się z powrotem na grunt twardy i znowu zaczęli polankę obchodzić dokoła.

— To w tem miejscu spróbujemy! — doradził Piętką, znalazłszy rodzaj ścieżyny.

Zboczyli i czas jakiś przedzierali się między zaroślami aż znowu natrafili na bagnisko.

Piętką, znecierpliwiony, kłął głośno i zżymał się gniewnie.

— Bodaj te psu braty Niemcy tutaj brodziły! — mruczał, wyciągając nogi z trzęsawiska.

Pod dwugodzinnem wreszcie poszukiwaniu trafili na grunt nieco twardszy i brodząc w moczarach, wydostali się z niebezpieczeństwa.

— Teraz poszukajmy naszych koni.

— Czy jeno je znajdziemy! — wątpił Dąbek. Na szczęście znaleźli. Stały skubiąc leśną trawę.

— Teraz co tehu do Lelowa! — zawołał Dąbek.

— Czy jeno tam miłościwego pana znajdziemy? Możeby lepiej w stronę Sandomierza?

— Rozpytamy się po drodze.

— Byleby się jeno na Czechów lub Niemców nie natknąć.

— E! konie mamy wypoczęte... w borze cisza.

Zaledwie młody rycerz wymówił te słowa, gdy zadudniało, dały się słyszeć gromkie okrzyki i głośne niemieckie przekleństwa.

— Rany boskie! — zawołał Piętką — to Niemcy!

— Stójmy, ani kroku naprzód! — szepnął z przyciskiem Dąbek. — Niemcy-ć być muszą ciągną łakami lub skrajem boru.

Wstrzymali konie i nasłuchiwali.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



SEN.

Raz w towarzystwie opowiadano wiele o cudownych zdarzeniach, przecuciach, widzeniu osób zmarłych i tym podobnych rzeczach, które coraz bardziej zajmują obecnie umysły powołanych i nie powołanych.

Był tam także i domowy lekarz odgrywający z urzędu rolę sceptyka, w końcu więc rozmowy pani jedna zwróciła się do niego z zapytaniem: czy też zdarzyło mu się w życiu coś takiego, czego by sobie wytłumaczyć nie umiał?

— Miałem w moich młodszych latach — odpowiedział doktor — sen, a raczej szereg snów, tak nadzwyczajnych, że pod względem cudowności, przechodzą one wszystko com dopiero słyszał, i na powszechne żądanie mogę je opowiedzieć.

Powszechne żądanie nastąpiło natychmiast, więc doktor zaczął opowiadać co następuje:

— Lat temu dwanaście bawiłem w Biarritz dla kąpieli morskich. Zarazem kochałem się w pewnej Angielce, która do kąpieli używała kostiumu haftowanego w łuskę rybią. Była to wielce oryginalna miss pełna dziwacznych pomysłów. Raz przetrzymała mnie i innych swych wielbicieli do godziny trzeciej w nocy na łodzi. Patrzeliśmy w gwiazdy i rozmawiali o prawdopodobnej wędrówce dusz z planety do planety. Wróciłem do domu wielce zmęczony i zasnąłem na fotelu, przy czytaniu jakiegoś listu, który znalazłem na mem biurku. Zaledwie oczy zamknął, zdawało mi się, że w jakimś wielkiem mieście wychodzę z nieznanego mi domu i widzę stojący przed bramą karawan. Dla objaśnienia domatorów dodam, że za granicą nie wożą ludzi na takim rodzaju piramid, czy katafalku, jak u nas. Karawany tamtejsze (corbillard) mają kształt oszklonej z boków wydłużonej karety, z drzwiczkami z tyłu, przez które wsuwają do środka trumnę. Taki właśnie ujrzałem we śnie. Ale nie dosyć na tem. Przy karawanie stał młody chłopak, lat może piętnastu, przybrany w czarną kurtkę z wązkiemi szamerunkami i szeregiem metalowych małych guzików wzdłuż szamerunków. Ujrzawszy mnie, otworzył drzwiczki karawanu i skłoniwszy się dał mi uprzejmie znak ręką, bym wszedł czy wsunął się do środka. Jakkolwiek we śnie różne nadzwyczajne rzeczy wydają się zwyczajnemi, przypominam sobie, że się tak bardzo przestraszył i cofnąłem się tak silnie, że aż głowa moja uderzyła o poręcz fotelu. Naturalnie zbudziłem się.

We dwa dni zapomniałem przy mojej Angielce o śnie, ale trzeciej nocy powtórzył się on z zadziwiającą tożsamością. Potem powtarzał się w odstępach nieregularnych co trzy lub cztery dni. — W końcu zacząłem się tem męczyć. Co było dziwne, to właśnie owa tożsamość kamienicy, karawanu, a przede wszystkim ubrania i twarzy chło-

pea, który zawsze z jednakową uprzejmością zapraszał mnie do siebie.

Zapamiętałem doskonale jego kurtkę, szamerunki, metalowe małe guziki, wreszcie jego jasne włosy i oczy siwe daleko odsadzone od siebie, cokolwiek do rybich podobne.

Wogóle przyznacie państwo, że wobec takiego uporczywego powtarzania się snu, było się też czem zaniepokoić.

Po kilku tygodniach wyjechałem do Paryża i stałem w tym samym co i moja Angielka hotelu. Przyjechaliśmy wieczorem mniej więcej na godzinę obiadową, w dość licznej kampanii znajomych. — Przebrałem się pośpiesznie, a następnie poszedłem do windy, by zjechać nią na dół, do sali jadalnej. Na korytarzu spostrzegłem moich znajomych, dążących także do windy, zbliżyłem się jednak do drzwiczek pierwszy i nacisnąłem guzik elektryczny. Po chwili usłyszałem głuchy turkot windy, następnie drzwiczki odsunęły się i nagle cofnąłem się, jakbym zobaczył śmierć. W otwartych drzwiczkach ukazał się piętnastoletni chłopak o jasnych włosach i rybich oczach, przybrany w czarną kurtkę z szamerunkami i metalowymi guzikami, taki sam, jakiego widywałem we śnie.

Stał we drzwiach na chwiejącej się jeszcze windzie i uprzejmym ruchem zapraszał mnie do środka.

Wyznaję, że pierwszy raz w życiu odczułem iż włosy istotnie stanąć mogą dębem na głowie z przerażenia. Oczywiście cofnąłem się jak nieprzytomny i pędem zleciałem po schodach na dół. Sala była na dole.

Winda czekała widocznie na większą liczbę gości, ja zaś siedziałem tymczasem w przedsionku na krześle z biegunami, starając się nieco ochłodzić, czułem bowiem, że byłem blady jak chusta. I... nie wiem... Może upłynęło parę sekund, może parę minut, gdy nagle usłyszałem przeraźliwy krzyk, potem łoskot i uczyniło mi się zupełnie słabo.

Gdym przyszedł do siebie, ujrzałem w przedsionku ciała ludzkie, poobwijane naprędce w skrwawione prześcieradła.

Chłopiec zginął także. Dowiedziałem się o tem później.

A teraz niech kto chce, tłumaczy. Mnie słusznie nazywacie sceptykiem, bo gdyby się to komu innemu zdarzyło, nie uwierzyłbym nigdy.



Lupinka orzechowa.

Stary i zacny hrabia Sławomir był gorliwym obrońcą prawdy i sprawiedliwości to też wszyscy, którzy nie postępowali podług sumienia i prawdy, byli jego nieprzyjaciołami. Kilku z nich do tego

stopnia oburzyło się przeciw hrabiemu, że poprzy-
siągnął jego zgubę, udali się do zbójcy, który za
znaczną pieniężną sumę podjął się zabić Sławo-
mira następującej nocy.

Szlachetny hrabia nie przeczuwał grożącego
mu niebezpieczeństwa. Wieczorem odwiedzili go
młodzi synowcy, grzeczne, ładne dzieci, które ura-
dowany częstował jabłkami, gruszkami, winogro-
nami i orzechami. Skoro odeszli, hrabia udał się
na spoczynek, a poleciwszy swoją duszę Boskiej
opiece, spokojnie zasnął.

Około północy morderca weisnął się niepo-
strzeżony do pałacu i wszedł na palcach do sy-
pialni hrabiego. Dobry starzec zasypiał głębokim
snem; przy jego łóżu paliła się nocna lampa,
przysłonięta zieloną jedwabną zasłoną, która je-
sucze bardziej łagodziła blade światło. Zbójca,
wiedziony tym połyskiem postępował ostrożnie
prosto do łóża, trzymając w prawej ręce dobrze
wyostrzony sztykt.

Kiedy już miał ugodzić w serce ofiary, jakiś
nagły i mocny chrzęst rzucił się w pokój i nie-
spodziewanie zbudził hrabiego. Morderca stanął
jak skamieniały, a Sławomir spostrzegłszy co mu
zagraża, porwał się z łóża, chwycił jeden z wi-
szących na ścianie pistoletów i wycelował. Tak
niespodziewanym obrotem rzeczy strwożony zbójca
upuścił sztykt z ręki, a padłszy na kolana począł
błagać o litość.

Tymczasem Sławomir nie tracąc przytomności
zadzwoił na służących, którzy w pół godziny po-
tem odwieźli związanego złoczyńcę do więzienia,
gdzie niezadługo wydał wszystkich współników
swojego zamachu.

Ochłonawszy z pierwszego wzruszenia, hrabia
Sławomir zapagnął poznać przyczynę hałasu, który
go zbudził. Dziwna rzecz! jedno z dzieci przez
nieostrożność upuściło na podłogę skorupkę od
orzecha, na którą zbójca nastąpił i zgniółł swoim
ciężarem.

— Dobry Boże! — zawołał wtedy starzec —
dzięki Twojej cudownej Opatrzności, drobna lu-
pinka od orzecha dostateczną była, aby życie oca-
lić, aby zniweczyć zbrodniczą zмовę złych ludzi
i zdać ich pod miecz sprawiedliwości!

Wszchemocny Stwórca Nieba, ziemi,
Czuwa bez przerwy nad dziećmi swemi;
Gdzie zamach zbrodni cnotcie zagraża,
Zbawi od złego, zgębi zbrodniarza.



Doktór mimo chęci.

Córka pewnego wielkiego pana poślubiła z
miłości młodego kmiecia. Małżonek kochał ją
także bardzo, ale miał zwyczaj bić ją każdego
rana. Żona była takim obejściem bardzo zmar-

Redaktor odpowiedzialny Józef Pankowski w Gdańsku.

twiona, ale myślała, że mąż jej zapewne nie
pojmuje, co to jest być bitym, bo inaczej, takby
jej nie dręczył.

Pewnego razu dwaj posłańcy z królewskiego
dworu przyszli do tej wsi, szukać doktora dla
księżniczki, która mocno zachorowała: oś z ryby
pozostała jej w gardle i żaden z lekarzy króle-
wskich nie umiał na to poradzić.

Młodej kobiecie przyszła myśl dobra i rzekła
posłańcom:

— Mój mąż jest bardzo dobrym lekarzem,
ale nigdy nie chce się do tego przyznać, dopiero
gdy zostanie obity. Zastosowano to do młodego
rolnika, i ten pod batami musiał udać doktora.
Gdy zaprowadzono go do królewskiego pałacu,
był bardzo zakłopotany, i wydziwiał pocieszenie
twarzą, więc księżniczka tak zaczęła się śmiać,
iż oś z gardła wypadła.

Król wtedy ogłosił, że jest to wielki i zdolny
lekarz i dał mu na mieszkanie piękne pokoje w
swoim pałacu; i przychodziły do nowego doktora
tłumy chorych, którzy znosili mu dużo pieniędzy.
To go jednak wreszcie znudziło i pragnął powró-
cić do domu.

Pewnego więc razu zgromadził swych słabych
i rzekł im, że ten który się z nich najslab-
szym okaże, zostanie spalony, a proszek z niego
będzie użyty do leczenia reszty chorych. Słyszac
to wszyscy uciekli, a „wielki doktor“ powrócił do
domu, ale od tego czasu nigdy już nie bił żony.



LAMIGŁOWKI.

I.

Pierwsze i drugie Tatr obszar wyniosły
Po nad halami, lasem nieporosły,
Tam młody góral po mchach miękich hasa,
Gdy swe bydełko i trzodę popasa.
Przy trzeciej, drugiej była bitwa ona,
Z najkrwawszych jedna, za Napoleona.
Wszystkie nie bitwy, nie żaden bój krwawy,
Lecz średniowieczne, rycerskie zabawy.

Rozwiązanie lamigłówek z nr 2.

I.

- 1) WROBEL.
- 2) ŁÓDKA.
- 3) AS.
- 4) DUDEK.
- 5) YO.
- 6) SEN.
- 7) ŁÓZKO.
- 8) ARCHIPELAG.
- 9) WILKI.

Drukiem i nakładem P. Pałędzkiej w Gdańsku.